

Nasza babcia Kazimiera

(ze wspomnień wnuka Andrzeja Węgrzyna)

Pamiętać i opisać bliskich znajomych i przyjaciół miło, i nie żal, ani wstyd, gdy się o kimś zapomni, gorzej, gdy się ma z tym do czynienia z bliską rodziną. Chciałoby się zbudować jasne drzewo genealogiczne, a tu co rusz kłopoty. Nie jestem pewien nawet panińskiego nazwiska babci, matki taty, Kazimierzy Węgrzynowej, chyba Goszczyńskiej, a im dalej w tej linii, tym więcej nazwisk, na pewno krewnych, ciotek i kuzynów: Goszczyńskich, Pawłowskich, Pizłów, lecz jak ich poukladać? Wiem, że babcia miała siostry, lecz co dalej?

Babcia Kazimiera miała odwzajemnioną anse do mamy. Mieszkała po śmierci dziadka Józefa Węgrzyna, felczera, w śląskim miasteczku Granica, gdzie tato się urodził, początkowo u starszej córki Cecylii Pizłowej, lecz była tak nieznośna i dokuczliwa, że gdy tato z mamą zamieszkali w Gliniku, Pizłowie wymogli na nich, by wzięli ją do siebie. Do mamy odnosiła się wręcz wrogo, mówiła o niej „ona, niech ona”. Nas, dzieci, nie uznawała za swych wnuczków, zwłaszcza Jerzego, dopiero z czasem przywykła do Hani, opowiadała jej bajki i uczyła szydełkowania. Nigdy nie opuszczała swojego pokoju. Pamiętam ją jako drobną, zasuszoną staruszkę, stale pijącą herbatę, która musiała być prawie wrząca. Trzymała więc stale filiżankę nad płonąca świecą. Miała radio kryształkowe i pamiętam, jak ze słuchawkami na uszach cicho nucila jakąś pieśń, słuchając mszy przez radio. Pamiętam relacje, jakoby dawniej miewała urojenia prześladowcze, że braknie wody, biegła po domu, zakręcała wszystkie kurki, zabraniała się myć i tak dalej. Trochę się jej bałem. Zmarła w 1934 roku. Dopiero później przyjechała z wizytą ciotka Pawłowska, z bardzo miłą warszawianeczką Krysią, w moim wieku, która nie wiedziała, jak się bierze mleko od krowy i na świnkę wołała cip cip. Była to miła dwutygodniowa wizyta, jednak tylko ta jedyna, przed wojną. Krysia miała też starszą siostrę Hanię, która wyszła za mąż za bliskiego kuzyna, też Pawłowskiego, po długich staraniach o zgodę papieża. Poznałem ich bliżej dużo później, w czasie wojny, gdy służyłem w Centralnej Szkole Pożarniczej w Warszawie i z radością spotkaliśmy się z Krysią, która pracowała tam w biurze.



Nasza babcia Kazimiera *(z oddzielnych zapisków)*

Nasze wspomnienia o babci Kazimierze Węgrzynowej są bardzo skąpe, niepewne i fragmentaryczne. Z domu Goszczyńska, urodziła się w 1866 roku. O jej młodości, pożyciu z mężem Józefem nie wiemy nic. Pamiętam, że gdy tatę pytałem o jakieś pamiątki po przodkach, powiedział mi, że gdy na wiadomość o śmierci ojca przyjechał do Granicy, zastał dom splądrowany, zaginęły wszystkie dokumenty, pamiątki i inne rzeczy. Stąd wnoszę, że dziadkowie wtedy już nie mieszkali razem, ale może się myłę.

W pierwszych latach małżeństwa naszych rodziców mieszkała u swojej starszej córki, siostry taty, Cecylii Pizłowej początkowo w Jordanowie czy w Zagórze. Tato, który po studiach wyłudował u nich, potem dostał pracę w Drohobyczu, był tam częstym gościem, tam też poznał

mamę. Pizłowie należeli do "towarzystwa" to była stara, zadufana, szlachecka rodzina, dumna i niedostępna.

Babcia nie miała łatwego charakteru, chyba dawała im w kość. Nieprzytomnie kochała wnuki, zwłaszcza Stefana – Kamyka i Barbarę- Żabę. Hania pamięta wprost olśnienie na jej twarzy na wspomnienie ich imion.

Tak jak Cesia, nie chciała dopuścić, by Henio się żenił, a jeszcze z biedną, chorowitą sierotą, wychowywaną przez obcych ludzi. Tato przesyłał pieniądze na babci utrzymanie, przychodziły listy (na adres rafinerii), żeby ją wziął do siebie, że to jego obowiązek. Trwały dyskusje rodziców na ten temat. Mama się broniła, chyba to zrozumiała wobec wręcz wrogiego stosunku babci do niej. Gdy rodzice dostali większe mieszkanie, naprzeciw rafinerii, babcia jednak przyjechała. Mieszkała w pokoju z oknami na taras.

Do mamy i o niej mówiła „ona”. Niech „ona”, „ona tak powiedziała” i tak dalej. Posiłki jadła u siebie, mało wychodziła z pokoju – do łazienki i na taras w lecie. Nas ledwie tolerowała, zwłaszcza Jerzyka. Pamiętam jak mama prosiła: „niech mama nie krzyczy, dzieci śpią” – „Dzieci!!!” – z szyderstwem w głosie odpowiadała. Dla niej dzieci to byli Kamyk i Żaba. Miała zaburzenia psychiczne, krzyczała po nocach, uciekała z domu (na piechotę do Pizłów), zamykano ją w pokoju – waliła pięściami w drzwi i krzyczała. Przez jakiś czas była w jakimś zakładzie dla nerwowo chorych. Pamiętam, jak kiedyś miała urojenia, że zabraknie wody. Zakręcała wszystkie kurki, nie pozwalała nam się myć, przeszkadzała dziewczynom w kuchni itp.

W następnym mieszkaniu, dużo większym, miała pokój obok pokoju mamy. Hania spała z nią. Była spokojna, towarzyska, opowiadała Hani bajki, uczyła szydelkowania, szycia. Gdy przyjechała kuzynka taty, Janka Pawłowska z córkami Hanią i Krzysią, dała się namówić na wyjście do ogrodu. Gdy tato kupił radio, zapraszał ją żeby posłuchała – to nowy wynalazek! Usłyszała głos, wpadła w przerażenie, krzyczała: „diabelski wynalazek!” (długo radio tak się u nas nazywało) i uciekła do pokoju. Dopiero w jakiś czas potem usłyszała z daleka transmisję mszy św. z Częstochowy i zaczęła przychodzić. Potem tato ofiarował jej kryształkowy odbiornik na słuchawki. Nieraz pomagaliśmy jej go nastawić. Słuchając mszy i pieśni kościelnych, pośpiewywała do wtóru. Brzmiało to niesamowicie – ni jęki, ni ciche wycie – nie śpiew. Hania się tego bardzo bała. Pamiętam ją słabo, jako drobną, siwą staruszkę, której raczej unikałem, podobnie jak ona mnie. Zmarła w 1933 r. na zapalenie płuc, chorowała trzy dni. W jej pokoju zamieszkała Hania.

Siostrzeńcami taty byli też Stefan Goszczyński, którego przed wojną nie poznałem, i bracia Stefan, zwany Kamykiem i Janusz Pizłowie, oraz ich siostra Barbara-Żaba. Odegrali sporą rolę w moim życiu, lecz dużo później.